Nr. 22. We Lwowie dnia 30. maja 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

NORMALNY DZIEŃ PRACY

(w kwestji obyczajów życia codziennego).

Z „Głosu“.

(Dokończenie).

Tyle co do zajęć zawodowych. Również nieracjonalnie jest rozłożony czas wypoczynku i rozrywek towarzyskich. Nie mówiąc już o tem, że u nas pod wypoczynkiem rozumie się zwykle nicnierobienie i wałęsanie się z kąta w kąt domu lub po ulicy, że takie wytchnienie po pracy, jak ćwiczenia fizyczne, spacer racjonalny, muzyka pokojowa, wyjątki tylko uprawiają, wogóle to, co stanowi typowe u nas wytchnienie po pracy, to jest życie towarzyskie, odbywa się bądź kosztem pracy innych, bądź kosztem snu wszystkich.

Mamy tu do czynienia z prawdziwem rozpasaniem wizyt, składanych niemal w każdej porze dnia i nocy, bez względu na to, że stronie, zmuszonej do ich przyjmowania, goście przeszkadzać mogą w najważniejszych i najpilniejszych zajęciach. Nie dość na tem: obyczajem społeczeństw nawskroś próżniaczych, nie przyjąć wizyty, kiedy się jest w domu, niemożna pod grozą obrazy, a każdy bliższy znajomy ma pretensję, aby poświęcić „chwilkę“ jemu samemu. Dla większości stosunki towarzyskie są środkiem zabicia czasu, z którym nie wie się co zrobić, kosztem innych, którzy mają go często zamało. W rezultacie tak zwany wypoczynek towarzyski jest rodzajem pańszczyzny dla jednych, bezmyślnego i bezcelowego próżniactwa dla innych, a nadto wiecznie bijącem źródłem komeraży i plotek.

Tę stronę życia uprawiają szczególnie panie domu i same najwięcej z jej powodu cierpią. Nie mając jednej godziny z góry i stale przeznaczonej na odpowiednie zajęcie, cały dzień kręcą się przy gospodarstwie, cały dzień zajęte są dziećmi i cały dzień oddają i przyjmują wizyty. Wszystkie te zajęcia stają się dla nich ciężarem, a żadne nie jest wykonywane racjonalnie. Nie może tu być mowy o jakiejkolwiek pracy nad sobą, o oddaniu się jakiemukolwiek zadaniu, któreby wypełniało im życie, z chwilą, kiedy dzieci mniej opieki potrzebują. Analizując tak powszechnie dziś śród mężatek panujące niezadowolenie, znaleźlibyśmy w większości wypadków u jego źródła zły, a właściwie żaden, rozkład pracy i idącą za tem niemożność porządnego wypełniania jakichkolwiek obowiązków.

Dzień, spędzony bez ładu, śród słabo napiętej pracy i męczących chwil wytchnienia, kończymy w najlepszym razie na raucie lub zebraniu towarzyskiem w domu prywatnym.

Jest to, nawiasem mówiąc, forma stosunków gdzieindziej nieznana w sferach średniej zamożności, w zasadzie jednak daleko odpowiedniejsza, niż zebrania w lokalach publicznych i zgodna najzupełniej z naszym charakterem. Pogawędki wieczorne są w stanie zaspokoić wszystkie wymagania towarzyskiego pożycia i powinny najzupełniej wyrugować wizyty dzienne i fajfokloki, to bezsensowne małpowanie wielkoświatowych zwyczajów. Aby jednak odpowiadały swemu zadaniu, powinny uwzględniać dwa warunki: nie być ciężarem dla rodzin, urządzających je w swoim domu i nie zajmować godzin, na sen przeznaczonych.

Zebrania towarzyskie, zwane fixami, przedstawiają u nas wstrętny poprostu widok, że użyję trywjalnego wyrażenia, — wyżerki dla zgłodniałych kawalerów, którzy raczą się stawić punktualnie w godzinie kolacji. Takie przyjęcia obciążają niepomiernie budżet średnio zamożnych rodzin, gdyż powiększają wydatki o 10—20 rubli miesięcznie, gwałcą najprostsze zasady hygjeny, dając obfity posiłek w najniewłaściwszej godzinie, nakoniec przedłużają

wieczory do 2-ej i 3-ej w nocy, co jest już prostem nadużyciem, podkopującem powoli najzdrowsze organizmy. W ten sposób najracjonalniejsza forma towarzyskich stosunków staje się czynnikiem, zakłócającym cały porządek dnia następnego, jedną z ważnych przyczyn nieładu w naszem życiu.

Przyjęcie, ograniczone do herbaty, jest aż nadto wystarczającem dla ludzi, nieprzyzwyczajonych żywić się kosztem innych; godziny towarzyskich zebrań, od 8-ej wieczór do 10-ej lub $10\frac{1}{2}$, obrócone na poważniejszą lub lżejszą, ale ogólną i interesującą rozmowę, odpowiadają najzupełniej potrzebie, odpowiadają lepiej, niż 5 godzin towarzyskiego jarmarku, przerywanego jedzeniem, flirtów na stronie i ciągnących się w nieskończoność rozmów bez określonego tematu.

II.

Naturalnie, zwolennicy *laisser aller* na punkcie zwyczajów życia codziennego odpowiedzą chórem, że cały tryb naszych towarzyskich stosunków jest prostym wynikiem warunków wielkomiejskich i wskażą Paryż, gdzie niektóre wymienione powyżej cechy jeszcze wyraźniej występują. Powołanie się na Paryż jest słuszne z tego względu, iż całość niemal naszych przepisów towarzyskich stamtąd pochodzi, z tem tylko małem wyjaśnieniem, że bierzemy je nie z życia realnego, ale z powieści, osnutych na tle wielkiego świata paryskiego. Otóż każdy, znający nieco stosunki tej stolicy, wie dobrze, że istnieją dwa Paryże. Jeden wielkoświatowy, próżnujący, mający wiele pieniędzy i czasu do stracenia; ten posiada kodeks towarzyski, którego główną zasadą jest, aby jedni drugich nie krępowali, aby każdy był zawsze panem swego czasu. Drugi — Paryż pracy, ten, który tworzy naukę, sztukę, przemysł i wynalazki, wstaje wcześnie, odżywia się dobrze i regularnie, bawi się i odpoczywa racjonalnie, sypia w nocy, a w dzień pracuje z intensywnością u nas nieznaną. My, żyjąc w nieskończenie gorszych warunkach, niż drugi, wzorujemy się w stosunkach towarzyskich na pierwszym. Wychodzi karykatura, tem dziwaczniejsza, że naśladując najnieodpowiedniejsze wzory, przejmujemy tylko formy ich form, zatracając ich istotę: wyrafinowaną delikatność w stosunkach i ład nawet w próżniactwie.

Porządek w wytchnieniu, zarówno jak porządek w zajęciach, nie da się zaprowadzić bez ujednostajnienia dnia pracy i bez racjonalnego rozkładu godzin. Doświadczenie społeczeństw najdalej posuniętych daje pod tym względem wzory, stwierdzone praktyką, przedyskutowane wyczerpująco w rozprawach naukowych i w prasie z współudziałem czytelników. Taka kwestja, jak rozkład godzin szkolnych, ma za sobą całą literaturę, u nas ledwie hygjena jazdy na kołowcach zajmuje prasę. Czytamy zastraszające dane o rozpowszechnieniu chorób piersiowych śród naszej inteligencji, nawoływania do zakładania uzdrojowisk, a nikt zdaje się nie zwracać uwagi, jak wielkie w danej kwestji ma znaczenie regularność życia codziennego, dobre odżywianie się i sen należyty. Rzeczywiście doszliśmy do tego, że mieszkaniec Warszawy tylko w zakładzie leczniczym może znaleźć hygjeniczne warunki życia.

Krzywą drożyną.

OBRAZEK.

(Ciąg dalszy).

— Otóż widzi panienka — pochwyciła znów szybko i gorączkowo — z tego wielkiego kochania, istne męki wypadło mi znosić! Tu trzeba iść na pole, do roboty, a ja się łzami zalewam, że mi dziecina w chacie sama się zakrzyczy, bo tych dziewczynek małych, nianiek, bałam się jak ognia. Lepiej nikogo, niż takie opiekunki. I nie dopatrzą, i jeszcze wyszczypią i wytłuką biedactwo, gdy im się zbyt sprzykrzy. Tu mąż posyła na jarmark, nieść to albo owo, a mąż mój jest to chłop srogi — i pija czasami, — a podemną, nieszczęsną, gną się kolana z obawy, że dziecina mi tu zgarbacieje, bo już się czołgać poczęła. A kiedy nieraz tak bywa, że coś jej dolega i rozkrzyczy się i rozżali maleństwo, to ojciec w zapamiętaniu palnie, nie patrząc, gdzie trafi. Więc też błagam ze łzami: — „A nie bijże, nie szturchaj w głowę, bo jeszcze zapalenia dostanie! nie rusz krzyżyków, bo to jeszcze tak kruche i delikatne!“ — To on tylko zwymyśla mię i wyśmieje: „Patrzcie mi ją! zapalenia?! delikatne! zwarjowała baba! na panią choruje i pańskiemi głupstwami oczy mi chce zasypać. Ja ci pokażę zapalenia i delikatności!“... Teraz od paru już miesięcy jakiś kaszel niedobry przyczepił się do mnie, to nawet do doktora nie puszcza, powiada, że samo przejdzie. Nie daj Boże, abym umarła... Weźmie jaką macochę, a cóż będzie wtenczas z biednym drobiazgiem moim? Oj, ptaszęta wy moje najmilsze! kwiatuszki moje! aniołki moje!...

I patrzy Hala wówczas, i widzi... widzi to dotąd jeszcze z przedziwną jaskrawością i świeżością wrażenia, — dwie główki jasne, szczęśliwe, swawolne, przyciśnięte namiętnie do piersi usychającej — te główki, nabrzmiałe dzisiaj od pięści kościstych...

I widzi oczy wielkie, czarne i łzawe z przerażeniem wpatrzone w przyszłość — dziś teraźniejszość!...

Norma dnia pracy musi być jedna dla wszystkich: niezbędne wyjątki powinny się o ile możności do niej zbliżać. Godziny pracy zawodowej są: od 8-ej do 12-ej i od 2-ej do 6-ej. Przerwa dwugodzinna jest przeznaczoną na obiad i niezbędny po przyjęciu posiłku wypoczynek, dla uniknięcia ociężałości przy robocie poobiedniej. Wieczorna kolacja, w społeczeństwach o intensywnej pracy, jest równie obfitą, jak obiad: w Stanach Zjednoczonych pierwsze poranne śniadanie dorównywa pożywnością obu dziennym posiłkom. Godzina wieczerzy może być oznaczoną dowolnie na 6-ą lub 7-ą, w tym ostatnim wypadku dla dzieci i młodzieży w okresie wzrostu niezbędną jest przekąska o 4-ej, tak zwany podwieczorek. Czas od 6—7 najlepiej przeznaczyć na codzienną przechadzkę na świeżem powietrzu. Godzina 11 wieczór jest ostatnim kresem dnia hygjenicznie rozłożonego i nie może być zbyt pedantycznie przestrzeganym, szczególnie dla ludzi wątłych, lub pracujących umysłowo.

Przy takim rozkładzie dnia niema miejsca ani na śniadanka po handelkach, ani na wizyty w godzinach zajęć, ani na rauty, rozpoczynające się o 10-ej, ale jest miejsce na porządną pracę, na wypoczynek po niej, na regularne odżywianie się i sen należyty. Jednego z drugiem pogodzić nie można.

Do powyższych warunków dołączyć należy jeden jeszcze — bezwzględny wypoczynek niedzielny, przeznaczony na dalsze wycieczki zamiejskie i wizyty. Kwestja ta, pierwszorzędnego znaczenia dla sfery handlowej, jest zbyt złożoną, aby ją tu w paru słowach poruszać, staje jednak obok innych, jako jedno z naglących zadań naszego życia społecznego.

Szkoły średnie i niższe wchodzą najzupełniej w ogólną regułę, z tą tylko zmianą, że zajęcia powinny się kończyć wcześniej, a jedna z rannych godzin winna być przeznaczoną na gimnastykę i zabawę na świeżem powietrzu. Powiększeniu godzin biurowych o jedną (de facto o dwie, biorąc pod uwagę normalną przerwę na wypoczynek) słusznie towarzyszyć musi odpowiednie podniesienie pensji. Nieskończenie większa wydajność pracy sowicieby to opłaciła, a urzędnicy nie potrzebowaliby szukać dodatkowego zarobku.

Tak zasadnicza reforma zakorzenionych już zwyczajów, obyczajów i nawyknień wymaga długiego czasu, a nadewszystko wytrwałej, systematycznej, uplanowanej akcji.

Memorjały wystosowywane do władz kompetentnych przez ciała zbiorowe do tego uprawnione, oraz szerokie omawianie tej sprawy w prasie, mogłoby wywrzeć wpływ pożądany na sfery decydujące i skłonić je do zaprowadzenia normalnego dnia pracy w biurach rządowych i ustanowienia odpowiednich ograniczeń w handlu. Też same środki, a zwłaszcza nacisk opinji publicznej, byłyby w stanie uzyskać odpowiednie zmiany w biurach i zakładach prywatnych.

Najważniejszem jednak jest dokonanie reformy w łonie samego społeczeństwa, gdyż własnemi siłami byłoby ono w możności usunąć najszkodliwsze strony dzisiejszego bezładu. Z jednem zgodzić się musimy, że są to kwestje o tyle ważne, o tyle silnie wpływające na zdrowotność publiczną, na charakter nawet

---

O tak! to „ona“ dzisiaj jej każe... „Ona“ dzisiaj naucza ją, jak ma zrobić. „Ona“ nasyca serce jej litością i żalem bez granic, zapala je żądzą gromu mściwego na tamte głowy zwierzęce!... Hala zaś w chwili tej dziwnej jest tylko ciałem biernem i cichem, z którego gwałtem wygnano własną jej duszę, aby do niego wstąpić mogła inna, „jej“, cudza — tamtej martwicy!... Tylko w mózgu jej została jeszcze cząsteczka świadomości, aby mogła zrozumieć, co się z nią dzieje.

I pod naciskiem myśli tej, urodzonej w biednej jej główce niespokojnej, dziewczyna pada na klęczki, a składając ręce błagalnie, szepce drżącemi usty:

— Pójdę tam! pójdę, gdzie każesz! pójdę jutro... Tylko nie ukazuj mi się widomie, gdyż lękam się śmiertelnie... Innych... tam... także powstrzymaj, by mi się nie ukazali na oczy!... Bo gdybym ciebie ujrzała... albo tych innych... umarłabym na miejscu!

II.

Kobieta od półgodziny przynajmniej trącała i trzęsła sennego chłopa, a słowa jej sypały się szybko i niecierpliwie:

— A zbierajże się, zbieraj prędko! — mówiła po raz dziesięty — i pójdźmy. Wszakże sześć reńskich obiecywała! a taka była jakaś zastrachana i niespokojna! Kołace i kołace do drzwi, aż wreszcie otwieram. Wbiega wówczas do izby jakby w gorączce i woła: „Moja Wojciechowa! Pomóżcie mi, na miłość Boga, poszukać pierścionka! Zgubiłam go jeszcze o zachodzie słońca, przy furtce cmentarnej — nawet słyszałam, jak wpadł pomiędzy kamyki i brzęknął o nie! Ale tak jakoś dziwnie tam utkwił, że za nic znaleść nie mogę, choć szukam od kilku już godzin i każdy krzemyk przetrząsam. Jest to pamiątka bardzo droga dla mnie — po matce. Gdzieś tkwi bliziuteńko, a nie mam szczęścia i dojrzeć go nie mogę. Lada kto może go znaleść i zabrać — tylko mnie tak się nie szczęści. A tak mi po nim serce boli! Chodźcież, zmiłujcie się, chodźcie natychmiast to,

społeczeństwa, iż zasługują w zupełności na to, aby się niemi zajęła prasa, towarzystwa w zakresie swej kompetencji, nakoniec sam bezpośrednio zainteresowany ogół.

W krajach, w których kwestje obyczajowe są przedmiotem nieustannej troski i opieki społeczeństwa, gdzie samo ono reguluje tryb swego życia, nie spuszczając się ani na tradycje, ani na naturalny bieg rzeczy, znajduje się zawsze grono ludzi, którzy podejmują formalną akcję w danym kierunku. Nie czekają oni, aż wpływowe sfery opinji publicznej zgodzą się na jedno, aż prasa poweźmie jednobrzmiącą uchwałę, ale mocno przeświadczeni o słuszności swej inicjatywy, działają równocześnie przez przykład i przez propagandę. Jednostki lata całe swego życia poświęcają przeprowadzeniu jednej drobnej reformy powszedniego bytu i pracują dopóty, dopóki jej nie dopną. Puszcza się w ruch wszystkie legalne środki walki z nałogami zbiorowości: memorjały lub petycje, zwrócone do instancji kompetentnych, wywieranie drogą stosunkówwpływu na sfery decydujące, formalna kampanja prasy sprzyjającej reformie, krzewiona dalej drogą ulotnych druków, rozrzucanych darmo śród ludności, odczyty publiczne, odświetlające wszechstronnie kwestję i popularyzujące ją śród ogółu, a nadewszystko osobista propaganda w kołach znajowych, poparta natychmiastowem wprowadzaniem w życie racjonalnych zwyczajów.

Wszystkie niemal powyższe środki dałyby się u nas zastosować, skoroby się zawiązało i uzyskało zatwierdzenie Towarzystwo, mające ściśle i wyraźnie określony cel: wprowadzenie racjonalnego rozkładu zajęć codziennych śród ludności, tj. utrwalenie jednostajnego, normalnego dnia pracy.

Gdyby ta niepraktykowana u nas dotąd forma zorganizowanej akcji w kierunku reformy obyczajowej nie miała znaleźć aprobaty władz (a tylko próba dokonana może tu być argumentem decydującym), pozostają zawsze wszystkie inne środki oddziaływania na opinję publiczną i stopniowe przeprowadzanie tych zmian, które od samego społeczeństwa zależą.

Ogół nasz zdaje sobie dobrze sprawę z tego, że żyje w ustawicznym wirze, który mu na żadną prawidłową czynność nie pozwala, że jest zdenerwowany do niemożliwości, że umie ślęczeć, a nie umie pracować, że może szaleć, ale nie może się bawić, że w każdej cięższej próbie życiowej brak mu charakteru, ale kładzie to na karb jakichś zawieszonych w powietrzu okoliczności lub swej wrodzonej *improductivité slave*. Postawmy Anglika w takich warunkach, każmy mu czuwać po nocach, a wstawać o południu, odżywiać się marnie i nieregulanie, nie być nigdy panem swego czasu, odpoczywać po pracy przy wincie itd., a zobaczymy, czy cokolwiek produkować będzie!

Wątłe mamy pokolenie, ale ma ono spory zapas sił dziedzicznych, jeżeli w takich warunkach robi jeszcze tyle, ile robi. Jeżeli dla jednostek zdrowych i silnych tryb naszego życia jest rujnującym, to dla słabych jest wprost zabójczym. Może los, grożący tej ogromnej większości naszych sfer inteligentnych, za-

---

może wam lepiej się uda!“ — Powiadam jej tedy: — Gdzie zaś, panienko, po nocy szukać będziemy? Toć zaczekajmy do ranka, a wtenczas wnet znajdziemy, jeśli panienka wie, w jakiem miejscu zgubiła. — „Oj, wiem, wiem dobrze!“ — mówi — „ale właśnie, że ranka czekać nie mogę, bo to jutro o świcie cała wieś rusza na jarmark — i znajdą mi go, pochwycą! O mój Boże!“... A sama aż drzy i tak dziwnie patrzy na mnie, a obiecuje pięć reńskich, abym szła jak najprędzej. — „Miesiąc tak jasno świeci“, — powiada — „aż wszystko skrzy się po drodze, a widać jak w dzień o słonku! Pobiegnę sama naprzód po chustkę do domu, bo zziębłam, i zaraz znowu przed cmentarz wrócę, a wy zbierajcie się co prędzej, złota moja, i chodźcie przed furtkę cmentarną!“ Wtedy powiadam: na cmentarz sama za żadne skarby nie pójdę o tej porze. Chyba że zbudzę Wojciecha? Ale nie wiem, czy zechce tłuc się o północku. — A ona na to: — „Et chłop — to zawsze niezgrabiasz, wolelibyście iść sami, no ale jeśli już nie możecie się przemóc, to go rozruszajcie. Dam mu osobno reńskiego na piwo — znajdziecie, czy nie znaj dziecie, a chodźcie ino, to za fatygę, jak mi Bóg miły, dam wam odrazu sześć reńskich“. — I wybiegła z chaty, jakby ją coś gnało. Szalona jakaś!...

Chłop przetarł oczy, przeciągnął się i wstał z tapczana.

— Więc cóż z tem będzie? — rozpoczęła znowu kobieta — pójdziesz, czy nie pójdziesz? Jeśli ci się iść nie chce, to światło zgaszę i spać się położę. Boć sama tam nie pójdę. Stracham się, a jeszcze i o takiej porze! Niech mnie Pan Bóg broni i Matka przenajświętsza!

— Co tam za strachy! — odparł wreszcie Wojciech z flegmatycznym spokojem. — A czegoż to się strachać? Skoro już w nocy niepokoju się narobiło i ze snu porwało, to niech przynajmniej nie będzie to zadarem. Zarobić sześć papierków każdemu się przyda. Bierz ino chustę i chodźmy. Przecież mówiła, że czy znajdziemy, czy nie znajdziemy — pieniądze nasze będą.

— A no, to już chodźmy. Tylko się tak lękam, tak boję!

chwieje nieco opinję publiczną w jej bezmyślnem pobłażaniu dla życiowego bezładu, w którym się ogół szamocze.

Dr. X.

O satyrach Włodzimierza Wysockiego

(szkic literacki)

przez J. Aleksotę.

Współczesny nasz satyryk, Włodzimierz Wysocki, zmarły przed dwoma laty w Kijowie, mógł powiedzieć o sobie za Słowackim: „Gdy gryzę, to już sercem gryzę“.

Dewiza ta zwłaszcza odnosi się do jego prac ostatnich. Więc tedy do zbiorku, zatytułowanego: Satyry i Bajki (wydane w 2400 egzemplarzach w r. 1894) i do prac niedrukowanych, z których dwie satyry, otrzymane od autora, zamieszczamy poniżej w brzmieniu dosłownem. Rozpatrzmy się tedy w znakomitych satyrach nieodżałowanego Włodz. Wysockiego. Spory tomik, wydany przez księgarnię Bolesława Koreywy, przyjaciela poety i wielbiciela jego prac, mieści na samym wstępie „Gawędę wesołą, w dni słotne do czytania nader pożyteczną“.

— Et głupia! głupia! Wieleż to razy wracałem o tej porze z Damianic, wedle cmentarza, kiedym to gości woził na wycieczki, a przecieżem zdrów i calutki Bogu dzięki, i nic mię też ztamtąd nie straszyło. Przecieżem nikogo nie zabijał, ani też dobra niczyjego na sumieniu nie mam. Za co by mię te mary nękać miały?

Mówiąc tak, przywdział sukmanę, czapkę nacisnął na głowę i szybkim a pewnym krokiem za drzwi poskoczył. Kobieta, chustką się otuliwszy, lękliwie za nim zdążała.

(C. d. n.).

Janina Baudouin de Courtenay.

Jest to satyra w pełnem tego słowa znaczeniu, o zakroju politycznym. Wysocki, jako obywatel, przywiązany całą duszą do swego kraju, chętnie satyrom swym nadaje barwę polityczną lub społeczną. „Gawęda wesoła“ opiewa pochodzenie Bismarka, pieszczotliwie a dowcipnie „Biesiem“ zwanego. Geneza jego narodzin sięga czasów Lutra i ściśle się łączy z osobą reformatora, który w gniewie palnął raz djabła w łeb jego kosmaty, kałamarzem. Stąd gdy djabeł powrócił do piekła i zaczął się żalić przed Belzebubem, powstało w piekle wielkie gaudium, wyśmiano niedołęgę, a Belzebub, który zrazu śmiał się z wypadku tak mocno, że aż ocierał łzy ogonem, wypędził go i kazał dopóty błąkać się po świecie, dopóki nie pomści owej zniewagi na narodzie niemieckim. Biedził się djabeł, bo Niemcy rosły w potęgę, aż po 300 latach ledwo się zdobył na pomysł. Oto swego pierworodnego synalka podrzucił baronowstwu na Pomorzu. Bezdzietni ludziska podarkiem się ucieszyli i całą swą czułość, jaką poprzednio darzyli różne stworzenia czworo i dwunogie przelali na Biesia. W nocy nad bogatą kolebką Biesia stanęli jego rodzice prawdziwi, a djablica zaśpiewała mu kołysankę. Śpiewała malcowi bardzo mądre rzeczy: wróżyła mu świetną przyszłość w wielce obiecujących słowach:

Kręty duszą, mocny ciałem,
Ty zawładniesz nawy sterem,
Będziesz ziomków ideałem,
Będziesz wieku bohaterem.
Z filozofów zrobisz płazy,
Co, gotowe na skinienie,
Oddadzą ci na rozkazy
Prawdę, godność i sumienie!

Rozochocony tą kołysanką Biesio zaczął drzeć się w niebogłosy. Baronowstwo nie mogli go utulić ani nawet domyśleć się, czego chce. Sądzili, że głodny, ale Biesio gryzł mamkę niemiłosiernie i po chwili wrzasnął: „piwa!“ Zdumieni rodzice kazali mu podać pełną kufę bawara, a miły malec do dna ją wyżłopał. Karmiony piwem, rósł szybko i wyglądał, jak olbrzym. Rodzice jego przybrani dogorywali, a on hulał, kułak i siłę mięśni wziąwszy ze dewizę. W szkołach do nauk był asinusem, ale stał się bożyszczem zepsutej młodzieży. Gdy wszakże w ich kole miewał niecne mowy, u progu stawała etyka niemiecka, którą znano z jej haseł: „prawda, miłość, sprawiedliwość!“ — i wołała, wskazując palcem na niecnego mowcę: kłamie!!

Hulał Biesio po Pomorzu i zaczął pangermańskie ideały wszczepiać w Słowian. Gwałty, bezczeszczenia, zdzierstwa były jego codzienną rozrywką — a wtedy znowu stanęła przed nim etyka niemiecka i wołała już nie „kłamie!“ ale: „zabija“. Lecz Biesio, którego

hasłem było wymowne „*ausrotten*“ ugodził etykę kałamarzem (Lutra), odziedziczonym po ojcu, w czoło, tak, że biedaczka padła zemdlona, a gdy ją podniesiono, pomieszały się jej zmysły i powtarzała tylko „*ausrotten*“, a za nią całe Niemcy głosiły na każdem miejscu: „*ausrotten*“. Stąd zaprowadzono w Niemczech kolor „*ausrotten*“ perfumę, pudr, pomadę itd.

Oto osnowa satyry, napisanej mimo bardzo poważnego tematu z niepospolitym humorem. Biczem ośmieszania smaga autor wady, głupotę i złość ludzką. W innej np. satyrze, w tym samym tomiku zawartej a zatytułowanej „Zuzanna“ wyśmiewa bigoterję i formalistykę religijną bez pojęcia jej ducha. Zuzanna, to pobożnisia, która o świcie każdego dzionka zabiera stoczek — a chociaż dziecko śmiertelnie chore, zostawia je na opiece męża i pędzi do kościoła. A gdy już stanęła pod drzwiami świątyni, mówi sobie *in petto*: „Boże, Boże, jakżem rada, że tu pierwsza stoję“. A potem się cieszy, iż „Łgarska, Brzeska, pękną ze złości, gdy ją tam zastaną“. Lecz po tej scenie, przypominającej biblijnego faryzeusza i celnika, następuje scena rozczarowania. Oto Łgarska, Brzeska, są już dawno pod kościołem. „Przebóg! woła Zuzanna — wszak to one! — Oddech zamarł u biedaczki, a usta wyszeptały: Ha, próżniaczki! Dewotki przeklęte!“ W domu tymczasem mąż Zuzanny, zagrzawszy mleko dla dziecka, woła służącę, nakazuje, by dziecku smarowała nogi płynem z flaszeczki, a proszki dawała co pół godziny. Poszedł do biura, a troskliwa pokojówka dała płaczącemu dziecku sporo kropel i poszła na *rendez-vous* ze swoim Michałkiem. Wraca ojciec, zastaje dziecinę nieżywą, powróciła i matka i zaczęła rozpaczać, wołając wśród płaczu: „Bóg mnie skarał, córko miła, za to, żem się opóźniła, dzisiaj do kościoła“. Tragiczny epilog w jaskrawej barwie przedstawia bezgraniczną ślepotę głupstwa. I tu także obok podstawy poważnej humoru dużo. Opowiada n. p., jak to Zuzannę młoda ciotka wychowywała i woła pompatycznie: „Ciocia, było to naczynie pełne sentymentu!“ Naczynie to miało swoje obserwatorjum w kościele, a laboratorjum, gdzie się kuły plotki — w kruchcie. Jako pesymistka, traktowała mężczyzn ze wzgardą, uważała, że nauka dla szlacheckiej córki, jest rozpustą — więc jeno zezwoliła na lekturę, którą sama kierowała: Monte-Christo, Rinaldo-Rinaldini i t. d. Któż zaprzeczy, że takie Zuzanny to także jedna z klęsk społecznych?

Dalej, podobnie jak Kraszewski, lubi mieć w swych opowiadaniach do czynienia ze szlachtą wołyńską — a chociaż tnie ją dobrze i gniewa się o to, „że w takiej, jak dziś twardej szkole, tak mało włazi w te ich łby bawole“, przyznaje jednak każdemu, co mu się należy, zatem i tę cnotę, że Wołyniak odda ostatnią nitkę i duszę dla rodaka. Ten motyw ostatni, jest nerwem, przenikającym dalsze gawędy — a zwłaszcza osnutą na tle wypadku rugowania Polaków z pod zaboru pruskiego. Tytuł jej: „Na odpuście“. Ważnym jest wstęp do tej gawędy, w którym autor napomina swych kolegów po piórze, by nie pisali, gdy muza od nich odejdzie. Reflektuje się zaraz, że i jemu mógłby ktoś uczynić takiżsam zarzut, lecz on uznając słuszność zarzutu, odpowie im sofistycznie, jak go nauczył pewien kaznodzieja: „Nie patrzcie moich uczynków, lecz mowy“. Sam ten pasterz Złotousty gromił naprzykład bardzo zabobony, lecz choć czuł do przesądów odrazę tak wielką, za nic nie siadał grać w karty pod belką“; — Zresztą co do księży miałby wiele do powiedzenia, ale się obawia, bo i tak zdrajcą nazwały go dewotki i leją łez fontanny nad jego duszą. Dodaje wszakże zaraz te słowa:

Ale zapewniam te panie i panów,
Że włosiennicy pokutnej nie włożę.
Ja to odróżniam *księży* od *kapłanów*,
I tylko drugich czczę jak sługi boże,
A stan kapłański jest jednym ze stanów,
Przed którym z całym szacunkiem się korzę
Aż serce boli, że w naszym kościele
Mało *kapłanów*, a *księży* tak wiele!

Jedno wszakże w tym wstępie razi i trudno się zgodzić na zdanie poety:

O gościnności, szlachetna twa rysa
Jeszcze została w sercu meszurysa.

Sam wszakże czuje, że groty słów jego bywają nadto ostre i zbyt dotkliwe, więc też prosi, by wybaczyć, że żółciowej pieśni

Nieraz satyry kolcem was zadrasnę,
Choć cierpię, jakbym ukłuł serce własne.

(Dok. nast.).

Opowiadanie o katastrofie.

W ostatnim numerze „Kraju“ korespondent paryski tego pisma umieścił opowiadanie pewnego robotnika, który był naocznym świadkiem katastrofy w bazarze.

Dosłownie powtórzone to opowiadanie maluje lepiej pełen grozy wypadek, niż wszystkie dotychczasowe opisy:

Trochę przed czwartą z południa poszedłem na *place de l'Alma*, ulica *Jean Goujon* wychodzi na ten plac) kupić sobie tytuniu.

Wychodząc ze sklepu, widzę przed sobą w powietrzu coś szarego i okrągłego: — Aha: pewno balon puszczają z *Bazaru*. Głupiś! powiada mi ktoś z boku — adyć to dym. Patrzę: sierżant leci galopem z ulicy, a za nim słychać krzyki: „Bazar się pali!“ — Jużci, myślę sobie, ogień być musi; ale płomieni nie widać. Ano, trzeba pójść zobaczyć. Gdym zdążył na miejsce, było nas już z półtorasta przed palącym się budynkiem, z którego damy wychodziły *bardzo pomału*. Był tłok wielki we drzwiach, a przytem już się płomienie teraz pokazały, i z lewej a prawej strony krzyżowały się przed drzwiami. Biedaczki, przed temi płomieniami zakrywały sobie rękami oczy, i tak wyskakiwała jedna po drugiej, niby owce z owczarni. Były i drugie drzwi na prawo i słyszeliśmy łoskot za niemi i krzyk i jęki; ale że się otwierały te drzwi *na wewnątrz*, więc je tłum uciekający zacisnął, zabił na śmierć! Mężczyzn nie było widać wychodzących. Mówiono, że wszyscy wyszli najpierwsi, drogę sobie torując pięściami i laskami nawet, kopiąc i depcąc wywrócone damy. Nie wiem, jak tam było; dość że przy mnie dwóch tylko wyszło. Pierwszy stary, z miną żołnierską. Powiedziano nam później, że jest generałem i zwie się Munier. Dobył się, mocno dosyć poparzony i chwiejący się na nogach; ale nie chciał niczyjej pomocy. „Nic mi!“ powtarzał i brał się nawet razem z nami do ratunku, ale osłabł, więc go siłą prawie wypchnięto. Chcieli go odprowadzać, ale się bronił: „Dajcie mi pokój! nic mi! Pójdę sam!“ Umarł podobno nazajutrz. Drugiego wychodzącego zaraz damy — te które już były wyratowane — poznały, choć włosy i brodę miał spalone. „*Monseigneur! Monseigneur!*“ Książę d'Alençon mu na imię. Wypadł, jakby obłąkany i zaraz zawrócił się na piętach, za głowę się chwytając obiema rękami i wołając nieludzkim głosem: „Moja żona! moja żona!“ Chciał leźć napowrót do budynku. Ale nie było sposobu. Poparzył się tylko i osmalił więcej: aż go dwie panie wzięły pod ręce i odprowadziły. Budynek cały był już teraz w płomieniach, a staży pożarnej nie było widać; ani policji nawet, prócz kilku sierżantów. Myśmy tedy jedni tylko ratowali, jak mogli, rzemieślnicy tacy, jak ja, odźwierni z domów sąsiednich, masztelarze ze stajni Rotszylda, co naprzeciwko, kilku lokai w liberjach... A było co ratować. Z początku damy wychodziły cało, trochę poturbowane tylko; ale teraz już wszystkie wybiegały w płomieniach i padały na ziemię z palącemi się sukniami. My tedy chwytaliśmy je i z rąk do rąk podawaliśmy masztalerzom Rotszylda, którzy rzucali je do wody tam, gdzie się konie pławią. Ale i z tem był niedługo koniec, z płomieni zrobiła się teraz przed drzwiami niby firanka, za którą słychać było straszne wycie. Póki żyć będę, nie zapomnę tego głosu. Byłem raz *à la Vilette* w szlachtuzie. Nawet tam zwierzęta tak nie ryczą! Z po za firanki tej tedy nic już nie wysuwało się. Aż się jeden z nas ruszył. Robotnik, z tych co na dachąch pracują *(ouvrier plombier)*. „Oblewajcie mnie wodą!“ Myśleliśmy, że zwarjował. Ale on, wodą, oblany, skoczył za ognistą firankę, złapał jakby snop palący się i cisnął nam. My znowu ze snopem do wody. A była to dama oczywiście, panienka na początek. On znowu za firankę. I tak razy dziesięć czy więcej. Nie pamiętam dobrze. Poparzony był już tak, że twarzy ludzkiej nie miał; ale się rwał ciągle, jak wściekły i utrzymać go nie było sposobu. Podobno jest w szpitalu teraz i zwarjował. Może z pięć minut trwała ta jego zabawa i byłaby trwała dłużej, ale naraz trzask się zrobił; dym z ogniem zmieszany wszystkich nas ogarnął, żeśmy nie wiedzieli, co się z nami dzieje, a gdy widniej się stało, nie było już gdzie i po co iść owemu szaleńcowi: dach się załamał nad resztą ofiar i pokrył je, jak wiekiem. Ale jęki było jeszcze słychać. Smażyły się tam nieszczęśliwe, jak gdyby nas ogień żarł, darliśmy odzienie na sobie, ale w to piekło iść nikomu nie zdawało się rzeczą podobną. Trafił się jednak taki. Olbrzym w butach po za kolana, takich, jakie noszą robotnicy czyszczący kloaki *(ouvriers violangeurs)*. Wysunął się w pierwszy szereg, wyciągnął rękę do ogniska i zachichotał:

— Ha-ha! to wielkopaństwo tak używa!

Chcieliśmy się rzucić na niego, i bylibyśmy go w sztuki porwali; ale on zaraz dodał: „Wielkopaństwo, czy nie wielkopaństwo, nie lubię zapachu palącego się ciała ludzkiego;“ i tak mówiąc, z temi swojemi wielkiemi butami wlazł w środek ognia. Buty ochraniały go prawie do pasa, więc jak wlazł, tak wylazł, wyciągnąwszy jedną kobietę, potem drugą, trzecią, czwartą. Z piątą powalił się na ziemię sam. Nie wiem, czy żyw jeszcze i nie słyszałem nawet, jak się nazywa. Ale to, co opowiadam o nim, widziałem, jak pana widzę. Zuch nad zuchy! Tego, co on, żaden chyba strażak by nie potrafił. A strażacy teraz dopiero zdążyli, kiedy już było po wszystkiem. Już się nic nie ruszało pomiędzy płomieniami. I cisza się zrobiła. Oficer od straży przypuścił, że za owemi drugiemi drzwiami, które pozostały zamknięte, kogoś do ratowaania znajdzie.

Drzwi rozsypały się w popiół pod pierwszym rzutem sikawek; ale za drzwiami, zamiast ludzi, był jakby mur czarny, na półtora metra wysoki. Trysła woda w środek tego muru i włosy nam dębem stanęły na głowach: mur był z trupów złożony, stojących rzędami

i nawpół zwęglonych. Woda, obmywając sadze, odkrywała białe czaszki, które pękały pod ciosem strumieni, i z których mózg znowu tryskał...

Panie, od dnia owego żyję wieczorami w ciemności z żoną i dziećmi, bo widoku bodaj jednej lampy zapalonej znieść nie mogę! Niech mnie tchórzem nazwą, wszystko mi jedno. Boję się ognia i zdaje mi się, że bać się tak będę do końca życia. I rady sobie dać nie mogę, ani jeść, ani spać. A nikt tam z moich nie zginął. Na gapia tam poszedłem, a jak do domu wróciłem, ani wiem. Żona myślała, żem się topił, bo byłem wodą zlany cały, a nie wiedziałem o tem...

Błędy językowe.

W numerze poprzednim przez pomyłkę wydrukowano inaczej, niż należało. Powinno być następnie:

Wiele osób w Warszawie mówi piniądze, pinięndzy itd., trzeba mówić i pisać: *pieniądze, pieniędzy* i t. d.

26. *Zeznanie* znaczy po polsku tylko to, co świadek lub winowajca *zeznaje;* nie można przeto używać wyrazu tego zamiast *świadomość, samowiedza* i nie wypada mówić np. „uczyniłem to bez zeznania', zamiast *nieświadomie, bez świadomości.*

Wiadomości bibljograficzne.

E. de Cyon.

1. »Où la dictature de M. Witte conduit la Russie«. (Dokąd dyktatura p. Wittego prowadzi Rosję). 1897.

2. »M Witte et ses projets de faillite devant le Conseil de l'Empire«. (P. Witte i jego projekty bankructwa przed Radą państwa) 1897.

Były profesor fizjologji akademji medycznej w Petersburgu, przyjaciel Katkowa, i, jak sam powiada jeden z twórców przymierza francusko-rosyjskiego, E. Cyon, od lat kilku zawziętą prowadzi walkę z rosyjskimi ministrami skarbu Wyszniegradzkim i Wittem.

Pierwsza jego praca, skierowana przeciw Wittemu p. t. »M. Witte et les finances russes« (P. Witte i finanse rosyjskie), ogłoszona w r. 1895, narobiła dość hałasu w Rosji i ściągnęła na autora, od lat kilkunastu zamieszkałego w Paryżu, prześladowanie ze strony rządu rosyjskiego, pośrednio zaś i francuskiego

W pierwszem z wymienionych w nagłówku dzieł, p. Cyon rozbiera działalność finansową Wittego po r. 1895, jego budżet na r. 1896 i załączony do tegoż budżetu raport o stanie materjalnym cesarstwa, który minister corocznie składa cesarzowi.

W drugiem autor zajmuje się wyłącznie zapowiedzianą i nawet częściowo już rozpoczętą w Rosji reformą waluty, nazywając zaprowadzoną przez Wittego dewalwację rubla wprost bankructwem.

Niepodobna nam się wdawać w szczegóły argumentacji p. Cyona, przepełnionej cyframi i nie pozbawionej łatwo zrozumiałej osobistej animozji. Nie możemy tu jednak pominąć milczeniem owej szczególnej ironji losu, dzięki której autor, ów przyjaciel Katkowa i apologeta samodzierżawja, musi wespół z nienawistnymi sobie rewolucjonistami szukać schronienia w Szwajcarji, a w przedmowie do jednej z omawianych prac wygłasza iście heretycki pogląd, zapożyczany z owych liberalnych katechizmów politycznych, które p Cyon tak gorliwie zwalcza, a mianowicie, że »kto płaci podatki, ma prawo kontrolować ich użycie«.

Sługa carów jest na śliskiej drodze.

2. *Encyklopedja ilustrowana* wiadomości pożytecznych. Nakładem Michała Arcta w Warszawie. Zeszyt 18. Od wyrazu Miernikowce do Motylica.

3. *Suesser Ignacy Dr.* Cenzura teatralna u nas. Odczyt wypowiedziany w sali radnej miasta Krakowa dnia 7. lutego 1897 r. Kraków 1897, Str. 19.

4. *Twardowski Kazimierz Dr.* Psychologia wobec fizjologji i filozofji. Odbitka z »Przewodnika naukowego» Lwów. 1897. Str. 30.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie